

Wychodzą we *Wto-
rek, Czwartek i Sobo-
tę*. We Lwowie prynu-
merata roczna 6 Złr. —
półroczna 3 Złr. — kwar-
talna 1 Złr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
czątkową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza pis-
mem petyt w przedziel-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr., za na-
stęp po 1½ kr. i za do-
płatą 10 kr. stępl. za każ-
dorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycji w księ-
garni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

VII.

(Ciąg dalszy).

Tym smutnym i zamyślnym był Kamil. Ucieklszy z miasta, szedł on prosto do domu swojego ojca. Smutno mu było na duszy, bo jedna chwila zniszczyła od razu wszystkie jego nadzieje, rozbila jednym uderzeniem całą tę ogromną budowę, której rysunek już tak wyraźnie się przedstawił jego młodzieńczej fantazy, podruzgotała wszystkie tej budowy ściany i wieże, i postawiła go nagle w jakiejś takiej ciemnicy, przez którą nawet nie mógł dojrzeć oltarzów we wnętrzu tej budowy postawionych przez siebie, chociaż jeszcze nie powalonych i w całości stojących. Smutno mu było i tęskno, więc wdychał z głębi piersi i oglądał się po za siebie. — Może chciał jeszcze ztąd okiem przepłynąć całą nad-dniestrzańską krainę i po raz ostatni jeszcze pożegnać kolebkę tylu pięknych marzeń i grób wszystkich swoich nadziei, a może tylko oglądał się z trwogi, i tutaj jeszcze się obawiając pogoni.

Z tą trwogą, malującą się w jego twarzy i oczach usiadł on na pniaku przegniłym, spoglądając ciągle na ów dworek niedaleki, który widać musiał mu się mienić wciąż w oczach, bo i blask jego oczu się mienił.

A kiedy tak siedział zamyślony na pozór głęboko, lecz nie zapewne nie myśląc, pokazała się jakaś dziwna figura na owej drożynie idącej od dworu, i wprost zmierzała ku niemu. Był to jakiś mały, nalegający na prawą nogę, lecz pomimo to bardzo żwawy i czerstwy staruszek. Miał on kaftan zielony na sobie, czapkę jeszcze zimową czworograniastą na głowie i małą ptaszniczkę, przewieszoną przez plecy. Szedł on prosto na dół drogą i mruczał coś sobie pod nosem, — lecz kiedy na zakręcie drożyny nagle obaczył Kamila przed sobą, stanął jak gdyby skamieniały i wpatrzył się w niego jak w tęczę. Na widok jego Kamil się zerwał ze swego pniaka, a staruszek tymczasem zawołał:

— Quintum djablum mospanie! a ty tu co robisz?

— Ha! cóż robię! — rzekł Kamil smutno, — uciekam ze szkół do domu.

— *Fugas chrustas* przed bizunem księdza prefekta! oko w oko jak ja niegdy od jezuitów! Hm! mospanie!

bodaj-że cię kula! chodźże do mnie, niech cię za to uściskam!

I objął Kamila w ramiona, lecz widząc młodzieńca obojętnego na tak serdeczne afekta, stracił humor w oka mgnieniu i zaczął się wypytywać o wszystko.

I długo tak ci obadwaj podróżni rozmawiali ze sobą przy pniaku, — aż nareszcie staruszek wstał z miejsca i rzekł:

— Bądź tylko spokojny i basta. Pogdera, powymyśla i przecie przestanie. A zawsze to dobrze, żeś się pierwszej obaczył ze mną, bo już co się droga uścieli, to uścieli. Posiedź-że tu sobie jeszcze czas jaki, i przychodź. A tymczasem bądź zdrow.

To rzekłszy ścisnął Kamila za rękę, i już nie szedł tam dokąd zamierzył, lecz nazad ku dworowi pokuł.

Ale ta pociecha jakoś niebardzo uspokoiła Kamila, bo usiadłszy na powrót na pniaku, siedział tam więcej niżeli dwie godzin i wciąż rzucał oczyma ku temu nieszczęsnemu dworowi. Nareszcie widząc, że już słońce nad zachodem zawisa, wstał i ruszył prosto drogą do góry. Lecz idąc, co chwila się zatrzymywał, wdychał ciężko i bardzo boleśnie, coraz większą zdradzając trwogę w swej całej postaci.

Widząc to, należało się było domyślać, że w tym dworku mieszka jakiś ojciec srogi, nieublagany, że bizun boćkowski wisi u niego za pasem, że miliony fur beczek piornów wylatują z ust jego i że z ganku jego domostwa rozlatuje się tylko postrach i trwoga po całej wiosce.

Tymczasem w wiosce tej cisza panowała grobowa. Widać było tylko przed niektórymi chatkami pracowitych kmieci, sprzęt gospodarski strużących, przed innemi bawiły się swobodnie tłuste i swawolne dzieciaki, z innych wylatywała piosnka rzewna i smutna, lecz głosem czystym i wolnym śpiewana. W całej wsi nie widać było nigdzie nędzy ni głodu, chociaż to była pora przednowku, chaty wszystkie dobrze zaopatrzone, role pozasiewane porządnie i całkowicie.

Takiż sam widok cichy, porządny i czysty przedstawiał dwór sam i całe jego obejście, — może nawet za nadto cichy i spokojny jak na mieszkanie szlacheckie. W całym bowiem dziedzińcu nie widać było ani jednej żywej duszy, nie kręciła się tamtędy zwykle tak bardzo ruchliwa służba dworska, nie szwargotały nigdzie zwykle tak gadatliwe kobiety. — Dwa tylko głosy stare i chropowate słychać było gdzieś w głębi dziedzińca.

Stało tam owe drzewo wysokie, na którym było przysposobione miejsce na gniazdo dla spodziewanego bociana. Odkąd to drzewo tam stało, nie zdarzyło się jeszcze ani razu, ażeby bocian na niem zagnieżdził się, albo żeby choć przynajmniej odpoczął, — ale przez wszystkie dnie ciepłe co wieczór odpoczywało pod niem na darniowej ławeczce dwóch gołąbkowatych staruszków. I w tej chwili siedzieli tam oni obadwa.

Więc pierwszy z nich był to starzec, mogący mieć teraz sześćdziesiąt kilka lat wieku. Był on wzrostu słusznego, chudy i wyciągnięty jak struna, a w jego całej postawie było coś dziwnie sztywnego, coś, co przypominało dawne maniere wojskowe. Jego twarz była ściągła, policzki pozapadane, czoło poorane zmarszczkami, a nos tak potężnej wielkości, że do niczego nie mógł być trafniej porównany jak do tureckiej kulbaki. Cała ta twarz była obciągnięta skórą żółtawą, ozdobiona dwójgim oczu zielonego koloru, ogolona starannie i gładko, i nakryta krótko ostrzyżoną, niegdyś zapewne czarną a dziś już dobrze szpakowatą czupryną. Wyraz jej zdawał się na pierwszy rzut oka surowym a nawet pewnym, lecz przypatrzwszy się bliżej, nie można było nie poznać, że nie było tam tej surowości w umyśle ni w charakterze. W uśmiechu ust i spojrzeń oczu już cokolwiek przyćmionych, tyle odbijało się serca, tyle ludzkiego uczucia, że nie można było się nie domysleć, że staruszek tylko często surowego udaje i ztąd twarz jego ten pozór zewnętrzny przybrała. W całej zresztą figurze widać było dziwną prostotę i skromność, a to wrażenie potwierdzało całe staruszka ubranie, które się składało z włosiennego halsztuka, z kamizelki sukiennej słomianego koloru, z długiego ciemnego surduta i z bótów jałowicznych palonych, które tak były starannie wywoskowane, jak gdyby za chwilę miały w wielkiej paradzie prezentować się panu naczelnikowi. Tym staruszkim był pan Bonawentura Łaski, rodzony ojciec Kamila.

Drugi, obok niego siedzący, był wzrostu małego, lecz jak zwyczajnie mali, bardziej jeszcze czupurny i żwawy. Był on wiele starszy od swego towarzysza, miał głowę łysą, lecz zakrywał ją nadezesanemi z tyłu rudawo-białemi kosmykami resztującej czupryny. Oczy miał siwe, brwi geste żółtawe, wąs podkrecony, lecz całą twarz tak pokiereszowaną szkaradnie, że wyglądała jak stary bót co sobota łątany. Widać ztąd, że dawniej nie piórowem ani gospodarskiem się zabawiał rzemiosłem i niebezpieczeństwom musiał z bliska zaglądać w oczy. Jakoż rzeczywiście w całej jego figurze uderzały nietylko ruchy i maniere wojskowe, ale nawet junackie, przypominające jeszcze tych starych rycerzów, którzy szkaplerz poświęcany nosili na piersiach, paskiem św. Franciszka obwiązywali prawicę, z nudów szukali wojny na kresach dalekich, nie rozumieli innej walki jak konno, i samotrzeć uderzali na całe kupy jakiegokolwiek szelmstwa. Tym tak pięknie się prezen-

tującym rycerzem był pan Jan Szlyk, szlachcic litewski czy ruski, dawny towarzysz broni pana Bonawentury, dzisiaj jego ekonom, pisarz prowontowy, leśniczy i łowczy, lecz dla mnogości urzędów tak mało ich obowiązkami się zajmujący, że nie był właściwie niczem, prócz przyjacielem domu i swego chlebodawcy.

Ojciec Kamila, którego, jakżeśmy to już z uwagi xiedza Augustyna wiedzieli, dziwnie był z powierzchowności podobnym do starego archiwisty ze Sieniawszczyzny, także jeszcze i pod wielu innemi względami podobnych losów był uczestnikiem. A więc najpierwej tak samo jak tamten nie wiedział on do dnia dzisiejszego, zkad się wziął na tym świecie, nie znał swoich rodziców, ni żadnych krewnych. Wiedział tylko tyle, że się urodził w jakimś wielkiem mieście, ile mu się zdawało, we Lwowie, lecz i tego niemógł utrzymywać z pewnością, — albowiem bardzo jeszcze małym chłopięciem został przez swoją matkę odwiezionym do Krakowa, i tam jakimś obcym ludziom w opiekę oddanym. Wszakże ci ludzie wypędzili go niebawem ze swego domu i pan Bonawentura musiał pauprować po mieście. Było to wielkie nieszczęście dla chłopca, wychowanego w wygodach i dostatku. Jednakże tak mu jeszcze w tem nieszczęściu Bóg szczęścił, że jakkolwiek tam z nim było przez wszystkie lata tego pauprowstwa, nie zaznał on nigdy głodu ni nędzy dotkliwej. Znosił więc ten stan swój z wytrwałością, z ufnością w Bogu i zawsze dobrą fantazją, — a jedząc nieraz swój ubogi kawałek chleba, przypominał sobie, że u jego matki było ich dwóch takich chłopaków, że tamten był jego bratem bliźniakiem i że jeszcze przed nim gdzieś został oddany za oczy. Nie wiedział on nic, co się z nim stało, ale często go sobie wspominał i dziękując swojemu Stwórce za tak troskliwą opiekę nad sobą, dodawał w swych modłach rzewną prośbę o równą opiekę nad bratem, którego może przymierał już gdzie z głodu i niedostatku. I tak minęło panu Bonawenturze lat wiele, aż wyrósł na tęgiego chłopaka, opatrzonego pięknymi świadectwami szkolnemi, a co ważniejsza, miłością i poszanowaniem od wszystkich, którzy go znali. Tak usposobiony, wstąpił on do jakiegoś urzędu, lecz ledwie co rozpoczął swoją nową karierę, wybuchła wojna. Szła wszystka młodzież do wojska, poszedł i on także za niemi, i stanął w Warszawie. Tam szczególniejszem szczęściem dobił on się protekcyi i łaski pana Michała Zabiełły, za jego poradą wybrał pułk i podług jego przepisów rozpoczął służbę, — i bił się walecznie i mężnie, jak na zacnego młodzieńca przystało, — lecz daleko częściej pełnił tylko służbę przyboczną przy swoim protektorze i dobrodzieju. Aż nareszcie skończyły się wojny krajowe i pan Bonawentura natulawszy się tu i owdzie po kraju, dostał się nakoniec do Krakowa. Początki jego terażniejszego pobytu w tem mieście nie były także niczem innym jak tylko tułactwem, a co gorsza, nawet tułactwem moralnem

od pustych do jeszcze pustszych nadziei, opierających się na różnych bezzasadnych bajkach i plotkach, jak to zwykle bywa u zwyciężonych po wojnie. Wszakże nakoniec dostrzegł on, że nadzieje nie karmią żołądka i zaczął na powrót aplikować się w swoim dawnym urzędzie. Praca przysposobiła mu spokój duszy i wywołała wszystkie dawne wspomnienia. Z niemą odżywiło się w jego pamięci i wspomnienie o jego rodzicach i bracie. O rodzicach myślał on długo i różnie, aż nakoniec coś stanowczego sobie o nich pomyślał, plunął i postanowił już nigdy nic o nich nie myśleć. Lecz brat nie mógł mu wyjść tak łatwo z pamięci. Dopytywał on się wprawdzie za nim wszędzie podczas swojej służby wojskowej, lecz nikt nigdzie o żadnym Łaskim nie wiedział.

Lecz teraz postanowił on poczynić rekwizycje do wszystkich miast polskich, i kwerendę za bratem swoim przez wszystkie Gazety ogłosić. Bardzo pomału mu szła ta robota, bo co chwila nie wiedział, jak się ma przybrać do tego, ale wtem zdarzył mu się szczególniejszy przypadek. Oto dnia jednego, kiedy do domu powrócił, powitał go jego towarzysz z niewymowną radością i oddał mu do ręki spory worek pieniędzy wraz z listem zapieczętowanym starannie, oświadczając mu, iż jakiś nieznajomy zostawił to i rozkazał doręczyć panu Bonawenturze Łaskiemu. Zdziwiony Bonawentura niespodziewaną przesyłką, rozerwał przedko pieczętkę listu i czytał jak następuje: „Matka wasza umarła. Módlcie się za jej duszę, bo była to grzeszna kobieta. Zostawiła ona wam cztery tysiące dukatów, które znajdziesz w tym worku. Połowę tej summy oddajtwojemu bratu, który niewiedomo gdzie się teraz znajduje. Ale młody jesteś, świat masz otwarty przed sobą i środki przy rękę, to go łatwo odszukasz.“ Taka była treść listu, a w worku znalazły się rzeczywiście cztery tysiące dukatów.

Wypadek ten i zadziwił pana Bonawenturę, i tak go pomieślał, że przez kilka dni chodził jak głupi. Trzeba było teraz brata odszukiwać koniecznie i przedko, a na to nie było żadnego pewnego sposobu. Skończyło się więc na tem, że porozpisywał kwerendy i poczynił wezwania w gazetach, — i czekał cierpliwie. Lecz na wezwania gazet nikt się do niego nie zgłosił, a kiedy poprzychodziły odpowiedzi z różnych powincyj, przekonał się pan Bonawentura jeszcze raz, że nigdzie żadnego Łaskiego nie było. Ten niepomyślny wypadek bardzo osmucił jego poczciwe serce, sam nie wiedział co czynić, był-by jechał gdzieś za nim, gdyby nie było tyle miast polskich i tyle prowincyj. Aż nakoniec zdesperował do reszty, pieniądze wszystkie ulokował w Krakowie, a sam wyszedł za granicę i zaciągnął się znowu do wojska. A że wojny było natenczas aż nadto, więc bił się i uczestniczył we wszystkich najpiękniejszych kampaniach. W Hiszpanii zdybał się z starym Szlykiem i bardzo go zaraz polubił. Szlyk był dla niego

zakochanego natenczas w rycerskiem rzemiośle, arcy-ciekawą figurą, bo Szlyk bił się jeszcze z hajdamakami na kresach, był w Litwie z Judyckim i w terażniejszej służbie nawet o wiele Bonawenturę uprzedził, bo wszedł daleko wcześniej do wojska i odbył z chwałą całą pierwszą włoską kampanią, która jenialnością taktyki i cudownością swych zwycięstw bardzo imponowała młodemu naówczas Bonawenturze. Szlyk umiał bardzo dobrze opowiadać, pojmował on rzeczy gospodarskim rozumem i widział je jasno, a opowiadał równie jasno, lecz z zapalem i sercem. Wszystko więc co on mówił, trafiało prosto do przekonania Łaskiego. — I zawiązała się między nimi już wtenczas dosyć ścisła i serdeczna relacya serc i umysłów, która-by była jeszcze daleko ściślejsza, gdyby nie to, że Szlyk umiejący zaledwo podpisać swoje nazwisko i nie mogący się w żaden sposób wyuczyć francuskiego języka, pomimo sławnej swej waleczności i sztuki krzyżowej, zadziwiającej Francuzów, nie doprowadził dalej, jak do rangi wachmistra, — a Łaski już natenczas był porucznikiem. Lecz pomimo to w tej przyjaźni wytrwali oni do końca kampanii i niepowrócili aż po bitwie pod Lipskiem.

Przyjechawszy do Krakowa, znaleźli się znowu w tem położeniu, że nie wiedzieli co robić. Szlyk już był stary natenczas i ani mu myśleć było o zaczynaniu jakiejś nowej karyery; ale pan Bonawentura miał lat zaledwie czterdzieści, zdrów był na ciele, trzeźwy na umyśle i sercu i wcale jeszcze zdolny do pracy i życia. Ale czegoż tu się było czepiać natenczas... Podniósł więc Łaski swoje summy i obradziwszy się dobrze ze Szlykiem, postanowił wyjechać do Galicyi i wziąć gdzie jaką dzierżawę. W tej podróży los ich zapędził aż za Dniestr w góry i długo tam gościli pomiędzy szlachtą, oglądając przytem różne dobra i wioski. Nietrudno było panu Bonawenturze za te pieniądze, które miał w rękę, kupić wioskę jaką na własność, — i ta myśl go bardzo nęciła, — ale powstrzymywał go od urzeczywistnienia się tej myśli słuszny wzgląd na to, że nie wszystkie pieniądze były jego własnością i że nie miał żadnego prawa rozrządzać fortuną brata, o którym lada dzień się spodziewał jaką wiadomość zasięgnąć. Wszakże Szlyk mu pomału wyperswadował ten skrupuł i dowiódł jasno jak na dłoni, że chociaż wieś kupi za braterskie pieniądze, nie naruszy przez to jego własności, bo to będzie to samo, jak gdyby ten kapitał oddał gdzie na prowizję. Przysłał tedy nakoniec na to zbytecznie summienny Łaski i kupił tę wioskę, którą teraz posiada.

(C. d. n.)

W zwaliskach zamku Herburtow nad Dobromilem.

Po za mną coraz sińsze łańcuchy Bieszczadu,
Przedemną coraz sińsze wzgórza i równiny,
A nademną dwa orły wbite w błękit siny,
Kędy mkną tylko chmury błyskawic i gradów

Słyszę głos orłów z dala, jak szum wodospadu:

„My nie orły młodzieńcze! my Herburtów syny,
Z moglił my zateśknili do naszej rodziny,
A zastaliśmy w ojców halach gniazda gadu!

Śmiał się puszczyk, gdy m pytał, którzy kraju wrogi,
Wpadli dzikimi hordy na te święte progi?!
Wszak na murach ni śladu brzeszczotu lub działa.

Och! to ziomek niepamięć murom upaść dała!

Wy potomki niegodni, by was ojców dusze
Nawiedzały!¹⁾ I orły znikli w zawierusze.

P. K.

Emil Souvestre.

(Ciąg dalszy).

Przybywszy do dworca kolei żelaznej na lewym brzegu Sekwany, spostrzegłem ciżbę spieszącą się, by nie uchybić godziny. Oprócz wielu innych korzyści, koleje żelazne będą miały i tę, że przyzwyczają Francuzów do akuratności. Pewni będąc, że nimi rządzi godzina, zrezolwują się jej usłuchać; nauczą się czekać, skoro na nich nie będzie można zaczekać.

Towarzyskie cnoty są nadewszystko dobrem nawyknięciem. Ilez to świetnych przymiotów jest zaszczerpionych pewnym ludom, przez położenie jeograficzne, przez konieczność polityczną, przez instytucye! Zaprowadzenie monety żelaznej, niezgrabnej i zbyt wielkiego rozmiaru, aby ją można było nagromadzać, ukróciło skapstwo u Lacedemończyków.

W jednym z wagonów, znalazłem się obok dwóch sióstr, schodzących już z pola, należących do klasy Paryżanek zasiedziały i spokojnych. Po przemówieniu się grzecznem jako sąsiad, zjednałem sobie ich zaufanie; za kilka minut wiedziałem już wszystkie ich dzieje.

Są to dwie ubogie panny, które w piętnastym roku osierociały, i odtąd żyły tak, jak żyją kobiety pracujące — z oszczędnością i ujmowaniem sobie. Od dwudziestu lub trzydziestu lat wyrabiając spinki, zamawiane przez jeden i ten sam dom kupiecki, widziały one z dziesięciu panów tego sklepu, jak po sobie następowali i wzbogacali się — a w ich losie żadna nie zaszła odmiana. Zamieszkują ciągle tę samą izdebkę, w głębi jednego z tych zaułków na ulicy św. Dyonizego, gdzie powietrze i słońce są nieznane. Zabierają się do pracy przededniem, przedłużają ją aż do nocy, i widzą jak lata upływają za latami, a ich życie nie przerwane żadnym innym wypadkiem, jak tylko nabożeństwem niedzielnem, małą przechadzką, lub słabością.

Młodsza z tych dwóch zacnych wyrobnic ma około czterdziestu lat, a słucha swej siostry tak, jak to czyniła, będąc jeszcze małą dziewczyną. Starsza czuwa nad nią, opiekuje się nią i łaje z czułością macierzyńską. Z początku śmiano się z nich, potem zaś nie można było nie

znać coś rzewnego w tych dzieciach o siwych włosach, z których jedna nie mogła się odzwyczaić od posłuszeństwa, a druga od opiekowania się.

Ale nietylko z tego względu zdają się obie towarzyski być młodsze, niż ich wiek pokazuje, na niczem się nie znając, dziwiają się nieustannie. Jeszcześmy się nie byli w Clamart, a już wykrzyknęły dobroduszenie, podobnie jak ów król w zabawce dziecinnej, że nie myślały, aby świat był tak wielkim.

Po pierwszy to raz odważyły się puścić koleją żelazną. Trzeba było widzieć, ile tam było zaleknienia, ile przestachu, a przytem i postanowień odważnych! wszystko prawie wydaje się im cudem! Dusza ich cofa się wstecz, aż do błogich chwil młodości, co je czyni czułemi na to, co nas nie porusza zwyczajnie, jak tylko w pierwszej wiosnie życia. Biedne stworzenia! zachowawszy czucie innego wieku, utraciły jego powaby. Ale, nie jestże to coś świętego w tej prostocie serca, które wstrzymało ich od wszelkich uciech? Ach! przeklętym niech będzie pierwszy, kto miał tę dość smutną odwagę, napiętnować śmiesznością miano starej panny — przypominające tyle zawodów bolesnych, tyle złudzenia, tyle opuszczenia! Przeklęty ten, co mógł znaleźć w nieszczęściu mimowolnem przedmiot do wysmiania, i szyderstwem uwieńczył biejące się włosy!

Siostry zowią się Franciszka i Magdalena; ich dzi siejsza wycieczka na kolei, jest krokiem odwagi bezprzykładnej w ich życiu. Gorączka naszego wieku owładnęła je mimo ich wiedzy. Wczoraj Magdalena nagle rzuciła tę myśl do przejazdki, a Franciszka z równym poświęceniem zaraz ją pochwyciła. Może byłoby to lepiej było nie ustępywać pokusie podanej przez młodszą siostrę; lecz «w każdym wieku robi się niedorzeczność,» — pobieżnie pomyślała w swej filozoficznej rozwadze rostopna Franciszka. Magdusia zaś żadnych wydatków nie żąda; to istny muszkietier we względzie oszczędności *).

Bawić się trzeba rzekła, »raz żyje się na świecie.»

A starsza siostra uśmiechnęła się na tę maksymę epikurejską. Widoczna, że obie zostają w pewnem przesileniu niepodległości względem siebie.

Wreszcie byłaby to wielka szkoda, aby obawa wydatków miała im zepsuć tę uciechę niewinną! Widok drzew, które zdają się pomykać z obu stron drogi, wprawia ich w nieustanne zadziwienie. Spotkanie się z drugim pociągiem przybywającym ze strony przeciwej, z łoskotem i szybkością błyskawicy, zmusza je do przymknięcia oczu i wydania krzyku; ale o! już wszystko już zniknęło. Spoglądają, uspokajają się, dziwiąją. Magdalena oświadcza, że podobne widowisko warte już jest kosztów podróży, a i

*) Muszkietery: gwardya przyboczna królewska za czasów Ludwika XIII. XIV. Ludzie waleczni, ale nie lubiący oszczędzać grosza.

Franciszka chętnie by się na to zgodziła, gdyby nie pomyślała z pewną obawą, że taki wydatek może zbyt obciążać skromny ich budżet. Te trzy franki poświęcone na jedną przejazdkę, jest to oszczędzony grosz za całotygodniową pracę. Tak to uciecha starszej z tych sióstr przerywaną była wyrzutami; rozrztne to dziecko zwraca czasami oczy ku ulicze na dzielnicy św. Dyonizego.

Lecz ruch i kolejna zmiana przedmiotów już ją rozerwały. Otóż i most na du Val ujęty w precudny krajobraz. Po prawej stronie Paryż ze swymi wielkimi pomnikami, co przecinają mgłę lub się lśnią od promieni słonecznych; po lewej, Meudon ze swemi willami, swemi gajkami, swemi winnicami i zamkiem królewskim. Obie wyrobnice nachylają się od jednych do drugich drzwiczek powozu, wydając okrzyki podziwu. Nasi towarzysze podróżni śmieją się z tej niespodzianki dziecinnej; ja zaś czuję się rozrzewnionym, bo widzę w tem świadectwo długiego i jednostajnego odosobnienia się; są to niewolnice pracy, które odzyskały na kilka godzin powietrze i wolność.

Nakoniec pociąg się zatrzymuje; wysiadamy. Wskazują obu siostrą ścieżkę wiodącą do Sèvres pomiędzy koleją i ogrodami; wyprzedziły mię, podczas gdy się wypytywałem o godzinę powrotu.

Przydybałem je wnet na stacji pobliskiej, gdzie się zatrzymały przed ogródkiem strażnika drogowego; obie już się z nim bardzo rozgadały, gdy tenże czyścił swoje grządki, i robił w nich rowki, aby weń posadzać kwiatki. Nauczał je, iż to jest właśnie czas powyplewiać zieliska pasożytne, szczepić drzewka lub sadzić latorostki, zasiewać zioła roczne, zmiatać robaczki z krzaków róży. Magdalena ma w domu na swem kraciastem oknie dwie skrzyneczki ziemią napełnione, ale w tych, dla braku powietrza i słońca, ledwie nasturcyę hodować mogła; ale teraz się pociesza, że, dzięki nauce dziś odebranej wszystko się jej na przyszłość powiedzie. W końcu dozorca poobiewawszy brzegi grządek rozetką, daje jej reszkę nasienia zbywającego, a stara panna odchodzi uradowana, rozpoczynając marzenia swoje o tych spodziewanych kwiatkach jak Marta ze swoim sławnym garnkiem mleka.

Przy trójkacie wysadzonym akacyami, gdzie właściwie obchodzą uroczystość tego święta, straciłem z oczu moje obydwie panny. Sam tedy przebiegłem obok wystawy loteryj pod gołym niebem, obok budek kuglarskich, karuzelów, i bawiących się strzelaniem do tarczy. Zawsze to ja byłem miłośnikiem tych festynów ludowych. W salonach człowiek jest zimnym, poważnym, częstokroć znudzonym. Większą część gości sprowadza tu zwyczaj lub pewne stosunki towarzyskie; w zebraniach wiejskich przeciwnie, znajdziesz tylko uczestników, sprowadzonych nadzieją rozrywki. Tamto jest zapis przymusowy; tu zaś schadzka ochot-

ników wesołości! Wreszcie, jaka łatwość do uciechy! Jak daleką jest ta ciżba od tej myśli, że, w niczem sobie niepodobac, a ze wszystkiego szydzić, należy do najlepszego tonu! Bez wątpienia, są to igraszki najczęściej rubaszne; brakuje im to co jest delikatnem i idealnem; ale przynajmniej nie zbywa im na szczerości. Ach! gdyby to można zachować tym festynom tę żywość radośną, łącząc z nią uczucie mniej gminne! Niegdyś religia wyciskała na tych uroczystościach wiejskich znamie wielkiego charakteru, i sprawiała uciechę wyższą, nie ujmując jej bynajmniej naiwności!

Otóż i godzina, o której fabryka porcelany, stoi otworem dla publiczności. W pierwszej sali odszukałem znowu Franciszkę i Magdalene, zatrwożone, ujrawszy się wśród tego królewskiego przepychu. Zaledwie śmieją dalej postąpić, szepłają po cichu do siebie, jak gdyby były w kościele.

— Wszakżeśmy tu u samego króla! powiada starsza, która zawsze zapomina, że Francya już go niema. Ośmielam je, aby szły naprzód; idę przodem, a one się namyśliły iść za mną.

Ileż to cudów nagromadzonych w tym zbiorze! Glina przybierająca najrozmaitsze kształty, barwiąca się w różnych odcieniach, łącząca się ze wszystkimi pierwiastkami!

Ziemia i drzewo są pierwsze materiały obrabiane przez człowieka, te które najszczególniej zdawały się być przeznaczone do jego użytku. Tak, jak zwierzęta domowe, są one niezbędnym przydatkiem do jego życia; równie też między niemi a nami ściślejszy zachodzi związek. Kamienie, metale wymagają dłuższych przygotowań, opierają się naszemu bezpośredniemu na nie działaniu, i należą więcej do społeczeństwa niż do pojedynczego człowieka; przeciwnie, drzewo i ziemia są pierwsze narzędzia istoty odosobionej, służące jej do pokarmu lub ochrony.

Bez wątpienia jest to ta przyczyna, dla której tyle mnie zajmuje ten zbior, który zwiedzam. Te czary, niezgrabnie przez dzikich wygniecione, wtajemniczają mnie po części w ich zwyczaje; te naczynia z mieszaniną ozdób, które ulepił Indjanin, odsłaniają mi przyćmioną umiejętność, w której bliższy jeszcze zmrok niegdyś jaśniejącego słońca; te dzbany arabeskami przepełnione wskazują mi fantazyę Arabów w niezgrabną niewiadomośc Hiszpanów przetlumaczoną! Można tu znaleźć piętno każdej rasy, każdego kraju i każdego stulecia.

(D. n.)

Galerya mężów stanu.

Abbas Basza.

Zmarły niedawno wicekról Egiptu Abbas Basza był wnukiem Mehmeda Alego. Chociaż Mehemed Ali przy śmierci zostawił czterech synów i dwie córki, które mu z 51 jego dzieci jeszcze pozostały, jednakowoż według prawa,

r. 1841 w Egipcie zaprowadzonego, Abbas Basza, wnuk jego, jako z wieku najstarszy w familii, objął po nim rząd Egiptu, jako wicekról dziedziczny. Podczas walki z Wehabitami w Arabii ojciec Abbas Baszy, Tussun Basza, bardzo lubiony dla uprzejmych i łagodnych obyczajów, przebywał ciągle w Arabii i tamże w Dżiddzie, porcie św. Mekki, urodził się Abbas Basza. Mehemed Ali byłby go w Kairze pewnie inaczej kazał wychować, gdyby przeczuwał że ten będzie następcą jego w rządach. Abbas Basza stał się pobożnym, zakładał różne dobroczynne fundusze dla moszeów i duchownych, odbywał po kilkakroć pielgrzymkę do Mekki, zasługując sobie na tytuł *Hadżi* t. j. święty. Wszystko to podobało się dziadowi jego, obrońcy grobu proroka od napadów wehabickich kacerzy. Nie wiedzieć, czyby mu przepuścił ową nienawiść ku Europejczykom, ich obyczajom i instytucjom, gdyby się na tem spostrzeżono. W jednej z pielgrzymek jego do Mekki dopędza go wieść o śmierci Ibrahima Baszy; wraca więc, udaje się osobiście do Konstantynopola i własnoręcznie odbiera od Sultana potwierdzenie następstwa, a po zgonie dziada swego objął rząd kraju.

W pięciu latach, które odtąd upłynęły, przechodził Abbas Basza z niepodległego lennika porty powoli na prostego poddanego. Wprawdzie nie bez oporu, bo więcej niż trzy lat wzbierał się, nakazy sultana, jako i w Egipcie obowiązujące uznawać, i już się do wojny gotował, nim kazał Hattyrzesyf z Gulhane w swoim kraju ogłosić! Ale nakoniec ustąpił porcie, a w nagrodę dostał tymczasowo na siedm lat moc nad życiem i śmiercią poddanych. W obecnej wojnie z Rosją dostawił swój kontyngent, jak każdy Basza, a dobór żołnierzy jego odznacza się walecznością i karnością. Wprawdzie i Mehemed Ali podczas powstania Greków podobnie uczynił, ale jakie sobie zato koncessye zawarował!

Jak w swoich stosunkach zewnętrznych odstąpił Abbas Basza od systemu Mehameda Alego, tak też i w kraju wiele przemienił lub całkiem zaniechał, co ów wielki reformator Egiptu wszelkimi siłami swemi dokonać pragnął.

Począł od znacznej redukcji floty. Było to postanowienie bardzo rozsądne. Po utracie bowiem Kandyi i Syrii i praw do Arabii, nie potrzebował Egipt ni na śródziemnym ni na czerwonym morzu znacznych sił morskich; przytem przebywanie floty egipskiej na ostatnim morzu dawało powód do ciągłych reklamacyj Anglików. Potem zredukował ogromne pensye wysokich urzędników, i odprawił przeszło 3,000 pisarczyków. Ta śmiała i bolesna operacya w najniebezpieczniejszej bolączce Egiptu uwolniła kraj od plagi, która sprzeciwia się zwyczajom Wschodu, a w Egipcie więcej jeszcze szkodliwa, niż śmieszna była. Żołnierzy odwołał z pól i fabryk, zostawił, ile mu potrzeba było, i użył do właściwego ich przeznaczenia, resztę uwolnił. Zniósł rządowy monopol ziemski, ztąd upadł ów system wielkich

dzierzawców, wydzierzających od nędznych fellahów (chłopów, niezmiernie summy, z których mała tylko część do skarbu wpływała. Z tą wielką zmianą finansową nastąpiło znaczne zmniejszenie podatków, z których wielką część na dobroczynne zakłady dla ubogich, chorych i kalek obrócono.

W ostatnich latach zajmował Mehameda Alego olbrzymi pomysł wielkiej grobli nilowej, który już miliony pochłonął. Grobla ta miała spierać wody Nilu podczas wylewu, aby po obu brzegach szerszą przestrzeń użyźniał namulę swoim. Okręty miały podczas tego sparcia szluzami przepływać. Abbas Basza przerwał te roboty, gdyż się ukazało, że szluzy te są niemożliwe.

Zato z drugiej strony pozwolił Anglikom prowadzenie żelaznej kolei przez puszcę, na co Mehemed Ali pozwolił niechętnie, lękając się niebezpiecznych gości. W kwestyi przekopania cieśniny Suez trzymał się Abbas Basza polityki swego dziada i niepozwolił na to, gdyżby Egipt pozbawił owych korzyści z przewozu towarów i podróży. Cieśninę przemierzano, możebność kanału z morza śródziemnego do czerwonego udowodniona, od Kairu do Suez ciągnie się linia telegraficzna; i na tem stanął cały ów plan, i nie postąpi dalej, chyba że się sultan przeważnym słowem swoim wstawi, a terazniejszy wicekról zezwoli.

Jedna reforma, za rządów Abbas Baszy, zjednała sobie najwyższe pochwały wszystkich przyjaciół ludzkości. Mehemed Ali, posunawszy zbrojną ręką granice państwa swego aż do Dongoli, Sudanu i Etyopii, po krainy murzynów, wysyłał co roku 4—5000 żołnierzy na południe, gdzie łowiono mieszkańców pogranicza, których potem albo do wojska wcielano albo w niewolę sprzedawano. Polowania te połączone były z najokropniejszą, najwyzużdańszą srogością. Wsie, które opór stawiały, szturmowano, palono, a mieszkańców nieprzydatnych bez różnicy płci i wieku mordowano. Silniejszych murzynów spędzano, jak bydłeta z których w skutek nielitościwego obchodzenia zwykłe połowa na marszu z głodu i pragnienia wyginęła. Gdy Abbas Basza objął rząd, robili mu Europejczycy, dawniej Mehemedowi Alemu bezskutecznie czynione przedstawienia, że te okrucieństwa rząd egipski splamią, że pomimo tego małe pożytku a nieobliczone szkody przynoszą, ponieważ mała ilość żołnierzy i niewolników którzy marsz ten i tesknotę do ojczyzny przeżyją, ani do porównania jest z pożytkiem któryby przyniosły zamiast nieludzkich polowań związki handlowe z temi południowymi krajami. Abbas Basza był dość ludzkim i roztropnym, i słuchał tej rady. Zamiast płonnych zdobyczy i okrutnych łowów zawiązano stosunki handlowe z tamtymi krajami. Abbas Basza uregulował koryto Nilu, ponaprawiał gościńce w owym kierunku, i zakładał szkoły aż po Chartum, gdzie teraz rozpoczęła działania swoje zbawienne missya katolicka pod opieką rządu Austriackiego.

Nienawiść Abbasa Baszy ku Europejczykom, którą dawniej ukazywał, nie była tak wielką, jak mniemano. Prawda że wielu z nich, którzy w wielkich łaskach stali u poprzednika jego, z urzędów poodsuwał, ale byli to najwięcej tacy, których zdolność bardzo podejrzana, lub których narodowcami mógł zastąpić. Dwóch synów swoich wysłał na wychowanie do Niemiec.

Największą przywarą Abbasa Baszy było jego skąpstwo. Co roku składał wielkie summy, a przedsięwzięcia Mehmeda Alego które on najstaranniej dalej prowadził, były kopalnie w pustych górach i na wybrzeżach czerwonego morza.

Abbas Basza umarł nagle na apopleksję w nocy z 13. na 14. Lipca b. r. w Bendak. Nastąpił po nim Said Basza. Sympatye tego księcia do Europejczyków i staranne wychowanie jego straszyły nieco egipskich ulemów. Stawili przeto mały opór jego proklamacyi, chcąc następcą ogłosić syna Abbasa Baszy, Ilhami Baszę. Ale ulemy egipscy od czasu, jak im Mehmed Ali odebrał wakafy, nic prawie nie znaczą. Konsulowie francuski i angielski silnie poparli prawa Saida Baszy do tronu, i został też uroczystie uznany wicekrólem w Kairze 17. z. m. z wielką wszystkich Europejczyków radością.

Rozmaitość.

* **Pseudoskop.** Przed dwoma laty wynalazł *Wheatstone* szczególny instrument optyczny. Nazwał go dla tego pseudoskopem, że nam wszystko, na co przezeń patrzymy, *falszywie* przedstawia; wypukłe staje się wydrążonem, wydrążone wypukłym. Składa się ten instrument z dwóch szkieł pryzmatycznych, tak złożonych, że każde z nich stawia obraz przewrotny, które obrazy wprawdzie razem przypadają i w jeden się zlewają, ale tak że oddalone punkta się przybliżają, a bliższe oddalają, przez co właściwie owa przewrotność się skutecznia. Patrząc przez ten instrument, widzimy świat oczywiście do góry nogami obrócony. Kula wydaje się wydrążona, wewnątrz czarki wypukłe jak kula. Obraz na ścianie zdaje się gdzieś wkopany w ścianę. Waza ozdobiona kwiatami wypukłej roboty zdaje się przez środek przeciętą, a kwiaty na niej wyrte. Potworny jest widok człowieka, szczególnie głowy. Cień od przedmiotów n. p. lampą oświetlonych tem bliżej się wysuwa, czem dalej w rzeczywistości za przedmiotem pada. Słowem, jest to dziwny, czarodziejski instrument, który niespodzianie i nadzwyczajnie ubawi lub przeraża.

* Dnia 4. lipca t. r. wydarzył się niedaleko Baltimore w Zjednoczonych Stanach Ameryki okropny wypadek. Pociąg kolei żelaznej, składający się z 14 wagonów, w których się blisko 2,000 pasażerów znajdowało, uderzył o pociąg z przeciwnej strony jadący, i 24. osób postradało życie, przeszło 100 niebezpiecznie ranionych zostało, a reszta mniej więcej pokaleczonych. Musimy dodać, że takie wypadki tylko w Ameryce się przydarzyć mogą. Dzięki starannej przestorności rządów naszych, w Europie o tak okropnych wypadkach nie czytamy.

* **Dziwactwa Anglików.** Doktor Veron w pamiętnikach swoich przedstawia nam kilku excentrycznych synów Albionu. Jeden z nich zaprosił go do siebie na śniadanie. Całe danie składało się z samych jaj na twardo najrozmaitszych ptaków, od jaja kuropatwy

aż do jaskółczego. Drugi taki oryginał wpada spocony i zaclychany do kawiarni, gdzie się właśnie Veron znajdował: „Ach! jakim zmęczony, ostatniem prawie tchem mówi do niego, biegam dzisiaj prawie od świtu“ i wyciąga z kieszeni butelkę Bordeaux. „Ach! jakie to musi być teraz kapitalne wino, skosztujno pan. Jak wiadomo, wino Bordeaux nieskończenie się polepsza podczas przewozu; dla tego biegalem z niem dzisiaj blisko 14 godzin.“ Tenże sam dziwak podnosi się pewnego razu w łożu w teatrze i woła na cały głos: „Mości panowie! przyznacie mi sami, jaka to szkoda, że autor tej sztuki nie posiada przynajmniej 50,000 franków rocznego dochodu. Pewnieby przestał, pisać takowe lichoty.“ Trzeci taki dziwak, który z Veronem żył w zażyłości, był niezmiernie bogaty, bez rodziny i żony. Życie mu zbrzydło, nic go nie wabiło, a nie miał nawet żadnej skłonności do rozpusty. Przyszedł raz do Verona, a widno było, że miał coś na sercu i do powiedzenia. Veron już się lękał, czy nie przychodzi do niego z jakim zamysłem samobójstwa. Ale zamiast tego, mówi do niego poufale: „Wynalazłem środek, który mi życie znosiem uczyni. Wymyśliłem plan jeden, ale do jego wykonania musiałbym żyć długo, jak żyd wieczny. Zamówiłem sobie trzy powozy do podróży, takie, jakich mi właśnie potrzeba, i według mego pomysłu. Otóż przedsięwziętem sobie do flaszeczek umyślnie na to przyrządzonych zbierać wodę z wszystkich większych i mniejszych rzek całej ziemi. Lecz, dodał smutnie zwiesiwszy głowę, poność tego przed śmiercią moją nie wykonam.“

* Węgierski mechanik **Jędrzej Gyürky** wynalazł aparat, przy którego pomocy koła i śruby przy parowcach zupełnie niepotrzebne i sternik zupełną moc ma, okrełem na wszystkie strony kierować. Także skręcanie i obracanie parowców tak jest zmyślne, że je i na rzekach, których szerokość tyle wynosi, co długość statku, bardzo łatwo wykonać można.

* W Rzymie ma się pod protekcją papieża i nadzorem kongregacji de propaganda fide zawiązać towarzystwo wschodnio-chrześcijańskie. Założycielem tegoż ma być pewien poddany turecki, Grek, rodem z wyspy Skios, mąż bardzo przenikliwy z rozległemi wiadomościami co do dziejów narodu grecko-bizantyńskiego. Celem tego towarzystwa wschodnio-chrześcijańskiego jest połączenie cerkwi wschodniej wszystkich obrzędów i nacyj z katolickim i apostołskim kościołem w Rzymie.

* **Objaśnienie mód do N: 93 Nowin dołączonych.** *Ubiór domowy.* Czepeczek z tiulu jedwabnego garnirowany fryzkami z tiulu w muszki, różami, i wstążkami taflowemi. Okrąg czepeczka ozdobiony jest zgrabnie fryzkami z przodu *à la Marie Stuart* i otacza zgięcia wstążek, które okalają twarz, i kończą się pod szyją. Druga fryzka otacza denko czepeka, który po obu stronach tych fryzek ubrany wstążkami.

Kaftanik z piki białej, garnirowany taśmami i koronkami *guipure*. Ten kaftanik bardzo wcięty w stanie i spięty z przodu guziczkami. Rękawy *à la pagode*, są w jeden szew, na którym są także guziczki; rękawy kończą się pięcioma zębami spiczastemi. Doł kaftanika kończy się jedynastoma zębami spiczastemi, koronka *guipure* na 3 cale szeroka, formuje żabotki i okala zęby kaftanika i rękawów; każdy zęb jest obsyty taśmą bawełnianą i sześcioma guzikami. Spodnica z tafty *damier*.

Ubiór od wyjścia. Kapelusze na tiulu, ozdobiony koronkami ryżowemi, lizierami taflowemi, blondynkami i piórami. Kania tego kapelusza jest przejrzysta, dwanaście baretok ryżowych mających 3 cale szerokości i podkładanych lizierami taflowemi; blondyna dwa cale szeroka otacza brzegi każdej baretki nad lizierami. Denko w tył spadające jest tiulowe podszywane siedmioma baretkami i blondyną. Z jednej strony są dwa pióra z bąbelkami złotemi z których jedno się obraca pod spód. Spód kapelusza zapełniony około twarzy blondynami i kwiatami różowemi.

Mantyla z wstążkami *pekiné* Nr. 80 obszywana koronkami czarnymi, poły Nr. 12. Brzeg jest garnirowany wstążką zieloną i lizierami czarnymi. Koronka od 5 do 6 cali, ułożona pod garnirunkiem dolnej koronki, do 25 cali szerokiej.

Suknia czarna, baretowa, ubrana wolantami, fasonu *à dispositions* upinana wstążeczkami gazowymi dwa cale szerokiemi. Stanik ściągany na ramionach i z przodu. Rękawy są bufowane, przedzielone małymi falbankami, opiętymi stóśownie jak u spodnicy. Trzy falbany w górze mają 20 do 22 cali, jako i dolne 30 do 32ch cali szerokości, marszczone są lekko i spadają jedna na drugą.

Suknia spodnia jest z tafty czarnej, ze stanikiem wygorowanym.

Przyjechali od dnia 4. do 6. sierpnia do Lwowa:

PP. Czajkowski Jan, z Truskawca. Fredro Maurycy i Henryk hr., z Truskawca.

PP. Dzeduszycki Władysław hr., z Jezupola. Kielanowski Tytus i Jan, z Zielichowa. Majewski Jan, ze Zbaraża. Ciepeliowski Albin, z Tarnopola.

PP. Medwej Franciszek, z Strynicy. Grabowski August, z Krakowa. Brunicki Juliusz, z Truskawca. Balko Antoni, z Tarnowa. Wojtawski Józef, z Tarnowa. Krasicki Alexander hr., z Dubiecka. Ripper Franciszek, z Krakowa. Sokołowski Konstanty, z Ulicka. Nowakowski Franciszek, ze Złoczowa. Walter Leopold, z Dobromila. Ciepeliowski Dionizy, z Sambora. Dylewski Maryan, ze Stanisławowa.

Wyjechali od dnia 4. do 6. sierpnia ze Lwowa:

P. Tomaszewski Walenty, do Popowic.

PP. Golejowski Kornel hr., do Derewacza. Korytowski Erazm, do Płotycz. Tomaszewski Jędrzej, do Tarnopola. Urbański Władysław do Więpkowic.

PP. Manastyrski Antoni, do Stryja. Ujejski Kalixt, do Trembowli. Kraiński Maurycy, do Rzeszowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 7. b. m. o 2 g. popołud.

Amszterdam	103 $\frac{3}{4}$.	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	124 $\frac{1}{2}$.	Medyolan za 300 lirów	122 $\frac{1}{2}$
Bukareszt	221.	Paryż za 300 franków	146 $\frac{1}{4}$
Frankfurt za 120 złr. podług		Agio duk. ces.	—
24 $\frac{1}{2}$ stopy	123 $\frac{3}{4}$.	Srebra agio	25
Genua	—	Pożyczka 5% 84 $\frac{1}{8}$. 4 $\frac{1}{2}$	73 $\frac{1}{4}$ o.
Hamburg za 100 tal. banco.	92.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcyje banku	—
Liwno	119.	Kolej północna	—
Londyn za 1 funtszterl.	12. 9.	Obl. ind.	5%o.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 44	złr. 5 kr. 50	
Dukat cesarski	o 5 a 51	o 5 a 55.	
Półimperyal zł. rosyjski	o 10 a 2	o 10 a 8.	
Rubel srebrny rosyjski	o 1 a 56	o 1 a 57.	
Talar pruski	o 1 a 51	o 1 a 54	
Polski kursant i pięciozłotówka	o 1 a 25	o 1 a 26	
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	o 92 a 36	o 92 a 50.	

* *Sum cuique.* Na przedostatniem przedstawieniu polskiem dnia 28. lipca r. b. odbytem, odegrano trzy utwory dramatyczne: *Awanturnik*, *Pójdź tu!* i *Idź prosto drogą a nie zbłądzisz*. Na afiszu ogłaszającym to przedstawienie, czytając przy komedyi *Awanturnik* wydrukowane ogromnemi literami nazwisko tłumacza p. *Szczęsnego Starzewskiego*, mimowolnie spojrziałem na tytuł drugiej sztuczki, szuka-

jąc naturalnie najmlszego, bo własnego nazwiska; bo przecież i dyrekeji teatru i repertoarzewi, i szanownej publiczności nawet wiadomo że *Pójdź tu* jest tłumaczone przezemnie. Przeczytałem wszakże na afiszu te tylko słowa: *Pójdź tu, próba dramatyczna*. Dla czegoż ani imię autora, ani imię tłumacza nie zostało wymienione przy tej komedyi, kiedy je podano przy pierwszej komedyi? To zapomnienie tem mnie więcej zdziwiło, że doświadczając tyle względów ze strony dzisiejszej dyrekeji, która przez pamięć na moje małe około sceny polskiej zasługi, dała mi nawet wolny wstęp do traturu, nie mógłbym się spodziewać tego zapomnienia wyglądającego na umyślne opuszczenie. Wszakże nawet później w gazecie polskiej wyczytałem przy ostatniej komedyi: *Idź prosto drogą a nie zbłądzisz*, nazwisko tłumacza Xawerego Błotnickiego, na afiszu także opuszczone. Zapomnienie więc to układającego afisza zdaje się być wprost do mnie zastosowane. Dla czego? może by nawet nie warto zapytać, i zapewne nie pytałym, gdyby szło o mój własny utwór. Ale *Pójdź tu* jest to utwór dramatyczny, który się powszechnie podobał, i był w Wiedniu na Burgteatrze kamieniem probierczym niejako, takiej znakomitej zdolności jaka była n. p. pani Rettich. Autor onego p. Elsholz zyskał sobie nie małą sławę, a i moje tłumaczenie, chociaż *proprya laus sordet*, przyjęte było przez publiczność bardzo poehlebnie. W ostatniem wszakże nawet przedstawieniu z dawno niewidzianym zapałem przyjętą i wywołaną została pani Aszperger w tej sztuce. Jest to dowód przed wszystkim mistrzowskiej gry tej naszej znakomitej artystki, godnej iść w wyścigi z panią Rettich; najmniej zawsze przynosi zaszczyt autorowi, jeżeli w utworze swym, umie dać sposobność artystce do pojawienia swoich talentów, a tłumacz tę tylko dla siebie zostawia sławę, że umiał się na ładnej poznać rzeczy, i nie zbrzydził jej przekładem swoim. Dodam jeszcze do tych uwag, że ta sztuczka oryginalnie napisana była pod nazwą: *dramatische Aufgabe* i ja tak napisałem: *Zadanie dramatyczne*, i pod tą nazwą było nieraz przedstawiane jeszcze za życia hr. Skarbka. Jakoż jest to zadanie dla aktorki, próba niejako jej talentu, ale nie próba jej dramatyczna; (jak było na afiszu) jakby próba talentu autora. I to narazie przypomnę, że się u nas komedya ta tak podobała, że gdy wydrukowałem z niej text na dochód dobroczynny, zaraz w pierwszej chwili przy kasie rozkupiono kilkadziesiąt egzemplarzy. Kończę zaś te moje uwagi, prośbą zda się słuszną, aby w podobnym razie, jeżeli już dyrekecyja uznaje za dobre przedstawienie tej lub owej komedyi czy dramatu, i nazwisko autora i tłumacza zostało wymienione. Jeżeli sztuka warta przedstawienia, dla czegożby nazwisko jej autora lub tłumacza nie miało być druku godne?

Winc. Thullie.

(98)

Styryjskiego

(12—12)

SOKU Z ZIOŁ

dla cierpiących na piersi

w Galicyi dostać można

we Lwowie u panów Fryderyka Schubutha Synów

w Białe	u pana J. Muchitsch.
„ Bochni	„ „ P. Niedzielskiego.
„ Krakowie	„ „ K. Hermana.
„ Rzeszowie	„ „ J. Schaittera.
„ Tarnowie	„ „ J. Jahna.
„ Czerniowcach	„ „ T. Zachariasiewicza.

J. Purgleitner,

Aptekarz, Producent styryjskiego soku z ziół w Gracu.